

Nauka i solidarność

26 maja 2016

Z Aleksandrem Temkinem z Komitetu Kryzysowego Humanistyki Polskiej (KKHP) rozmawiamy o zapaści polskiego szkolnictwa wyższego, ciężkiej sytuacji na uniwersytetach i wyzwaniach, jakie stoją przed środowiskiem akademickim.

– Po co Polsce potrzebny jest uniwersytet?

– Na pewno nie po to, żeby tworzyć/kształcić elity. A taka odpowiedź pada najczęściej. Gdyby rzeczywiście tak było, to nie warto byłoby bronić uniwersytetów. Celem uniwersytetu jest w równej mierze tworzenie elit i kontrelit. To jednak nie wyczerpuje sprawy. A to, że takie pytanie tak często i tak automatycznie się zadaje, pokazuje, że polskie uniwersytety i rodzime środowisko naukowe są tak słabe, że znalazły się na zupełnie defensywnych pozycjach i od dłuższego czasu muszą się nieustannie samouzasadniać. Ta słabość jest zresztą obiektywną winą samego środowiska naukowego. Naukowcy byli jedyną branżą, a uniwersytety jedynymi zakładami pracy, które w ostatnim ćwierćwieczu w zasadzie nie protestowały. Nie było w tym czasie żadnego strajku akademickiego. Protestowali nauczyciele, lecz naukowcy – nigdy. Samo mówienie o tym, że naukowcy są jedyną branżą, jest prowokacyjnym sformułowaniem.

– Na czym polega tu prowokacja?

– To środowisko nie chce myśleć o sobie jako branży, nie chce myśleć o sobie jako o pracownikach. To się zmienia, także dzięki naszej (KKHP) działalności. Środowisko nie chce myśleć również, przynajmniej otwarcie, o swoich interesach jako o interesach pracowniczych właśnie. Jednym z naszych zadań, a odnosimy tu duże sukcesy, jest przełamanie tej niechęci. Jest ona równie szkodliwa, co lęk i konformizm paraliżujące środowisko naukowe. Ten lęk również udało się nam przełamać. Jednak trzy lata temu miał on gigantyczne rozmiary. Można było

wtedy mówić o pragnieniu cichego umierania. Wszyscy wiedzieli, że jest niż demograficzny, że dotknie on wszystkich, że już „demoluje” to uczelnie. Wszyscy ciszej lub głośniejszym głosem protestowali na tzw. reformy minister Kudryckiej. Były to jednak głosy bezsilne, w dużej mierze rozproszone. Ważnym wyjątkiem były tu środowiska Demokratycznego Zrzeszenia Studenckiego czy Nowego Otwarcia Uniwersytetu, którym bardzo wiele zawdzięczamy. Dominowała jednak chęć przeczekania, zaszycia się, kalkulacje, że te procesy może zmiotą innych, ale mnie osobiście jakoś może oszczędzą.

– Czy mógłby Pan wyjaśnić, na czym polega zagrożenie uczelni?

– Po pierwsze, istnieją zagrożenia obiektywne. Chodzi tu o niż demograficzny, który – być może – odbije się około roku 2025, ale nieznacznie. W związku z tym, że finansowanie uczelni zależy w dużej mierze od liczby studentów – 35% dotacji zależy od liczby ich oraz od liczby doktorantów – ten niż, przy dalszym trwaniu obecnego systemu, oznacza katastrofę dla mniejszych uniwersytetów oraz dla mniej popularnych kierunków. Kolejnym czynnikiem obiektywnym jest to, że uczelnie i działalność naukowa są radykalnie niedofinansowane. Jesteśmy na jednym z ostatnich miejsc w Europie, gdy idzie o wysokość odsetka PKB przekazywanego na naukę. Po drugie, istnieją przyczyny polityczne. Chodzi tu o wysiłki władz ministerstwa za rządów Platformy Obywatelskiej, a także szczytów hierarchii uniwersyteckiej, tzn. środowiska rektorskiego, mających na celu narzucenie uniwersytetom bardzo sztywnego reżimu ekonomizacji oraz instrumentalnego podejścia do nauki. Mam na myśli wymuszenie przejścia na przede wszystkim konkursowy system finansowania badań oraz ultradogmatyczne potraktowanie konkurencji o bardzo szczupłe zasoby finansowe jako remedium mającego uleczyć środowisko naukowe. Chodzi o stworzenie systemu, który – wykorzystując pewne zewnętrzne społeczne procesy, jak choćby niż demograficzny – doprowadzi do wygaszenia mniejszych ośrodków akademickich, ośrodków niemietropolitalnych, czyli innych niż Kraków, Warszawa czy

Poznań, i wyłonienia właśnie tych trzech uczelni flagowych. Reszta miałaby być zachowana w stanie kadłubowym. Finansowanie ich miałoby zostać przerzucone częściowo na samorządy. Jak wygląda takie przerzucanie odpowiedzialności – bez zapewnienia odpowiednich środków finansowych – widzieliśmy już na przykładzie szkolnictwa podstawowego, gimnazjalnego i średniego. Tylko w zeszłym roku gminy zdecydowały o zamknięciu ponad dwustu szkół. Zamiast więc potraktować niż demograficzny jako szansę na zmniejszenie klas czy grup zajęciowych – a co za tym idzie: podniesienie jakości kształcenia – traktuje się to jako pretekst do wycofania się państwa z odpowiedzialności za utrzymanie i rozwijanie ośrodków myślenia, nauczania i badania w Polsce pozametropolitalnej. Przy okazji pojawiały się też projekty komercjalizacji i prywatyzacji uniwersytetów. Chodziło o wprowadzenie odpłatności za studia. Mówiono również o konsolidacji uniwersytetów – konsolidacji bardzo specyficznej. Współpraca między uniwersytetami jest ważna, tworzenie sieci placówek umożliwia bowiem na przykład występowanie o granty europejskie. Jednak środowiska rektorskie i ministerialne promowały wizję fuzji administracyjnej, w tym fuzji podmiotów prywatnych i publicznych. My to nagłośniliśmy w maju 2015 roku, co wywołało skandal. Skutkiem takich fuzji miałoby być powstanie jednego podmiotu prywatnego, który przejmowałby majątek podmiotu publicznego.

– To nic nowego, podobne zabiegi aplikowano szkołom...

– Tu jednak chodzi o gigantyczne majątki. Ogromne środki unijne poszły na aparaturę, sprzęt, budowę i remonty budynków. Tej infrastruktury nie ma z czego utrzymać, także dlatego, że uprzednie wniesienie do projektów tzw. wkładu własnego przez uczelnie spowodowało ich zadłużenie się. Tych budynków czasem nie ma za co ogrzewać i komu prowadzić w nich zajęć. Nierzadko były to chybione inwestycje. Władze uczelni rzuciły się na pieniądze z Unii, fundując sobie – w sytuacji zbliżającego się niżu demograficznego – nowe kampusy. Tak jest choćby z

Uniwersytetem w Białymstoku, który sprawił sobie nowy kampus, jednocześnie likwidując fakultet filozofii i bibliotekę. Dwa miesiące temu zamknięto część akademików. Widzimy tu skutki inwestycyjnej gigantomanii. Bardziej dbano o to, by się zastawić i postawić, niż o zapewnienie stabilnych etatów dla zespołów badawczych – bez czego trudno sobie wyobrazić nie tylko prowadzenie sensownych, długofalowych badań, ale także racjonalne i gospodarne zarządzanie nauką. W każdym razie: mówimy o gigantycznym majątku do przejęcia. Niestety, ostatnio te pomysły wróciły w jednym z wywiadów prasowych ministra Gowina.

– Taka skala strat i zagrożeń powinna chyba wywołać opór środowiska akademickiego. Tymczasem mówi Pan o jego słabej reakcji. Jak to wytłumaczyć?

– Po pierwsze, reformy Kudryckiej w dużej mierze rozbiły środowisko. Przerzucenie ciężaru finansowania na środki z grantów pozwala utrzymywać je na smyczy niepewności. Jednocześnie konieczność konkutowania o pieniądze sprawia, że na drugi plan schodzi głębokość cięć finansowania. Mówi się, że w tym systemie mogą ostać się tylko najlepsi, a kto nie otrzymuje finansowanie grantowego – widocznie nie był najlepszy i sam jest sobie winien, że nie przeżył. Przy czym cięcia zaszły tak daleko, że nawet dyrekcja agencji finansujących badania przyznaje, że konkurencja ma charakter ruletki. To wszystko ustawia środowisko naukowe w pozycji winnego, który okazuje się zbyt słaby, by pozyskać środki. A oceniają przecież „najlepsi międzynarodowi specjaliści” – proszę wziąć to w cudzysłów [śmiech]. Po drugie, mamy do czynienia z inwazją umów śmieciowych. Co gorsza, część osób reprezentujących prospołeczny punkt widzenia chwali tę elastyczność zatrudnienia i finansowania jako sposób na przewyciężenie uczelnianego „feudalizmu”. Niestety widzimy, że zwiększona konkurencja o zmniejszone środki prowadzi raczej do odtwarzania i utrwalania układów klientelistycznych. Dowodem na to, że – rzekomo postępową – reforma Kudryckiej nie

osłabiła, ale raczej wzmocniła te niejasne sieci powiązań, mogą być chociażby niedawne wybory rektorów. Obecny system wyborczy oparty o rządy koterii i kuluarowe rozgrywki nie daje większości pracowników uczelni niemal żadnego wpływu na to, kto zostanie rektorem i niemal żadnej kontroli nad jego polityką po wyborach. Stąd takie zachowania jak niedawne uchwalenie regulaminu dla studentów UW – nie tylko bez żadnych konsultacji, ale wbrew ich głośnym protestom, dobrze zorganizowanym przez Uniwersytet Zaangażowany. Obecny system jest także mocno niereprezentatywny: skrajnie niedoreprezentowani są w nim np. doktoranci, wykonujący na rzecz swoich uczelni dużo pracy, w tym także pracy nieodpłatnej.

– Kto na uniwersytecie zatrudniany jest na umowach śmieciowych?

– Pracownicy techniczni: szatniarze, sprzątaczkі, ochroniarze, coraz częściej bibliotekarze. Ale ekspansja umów śmieciowych dotyczy także adiunktów i profesury. Nie dotyczy to, a przynajmniej nie dotyczyło do niedawna, wyłącznie profesorów „belwederskich”. Natomiast profesura niebelwederska była zatrudniana na kontraktach pięcioletnich w wieku 50 lat... W tym sensie minister Kudrycka zrobiła to, co nie udało się tzw. Polsce Ludowej. Udało się jej zniszczyć samorządność tego środowiska.

– Jak udało się do tego doprowadzić?

– Chodzi tu nawet nie tyle o samorządność, ile o pewien układ immunologiczny środowiska akademickiego. Było ono zawsze – w złym i dobrym sensie – przemądrzałe. Dzięki temu różne zewnętrzne naciski udawało mu się obchodzić, otorbiać, oszukiwać. Od pewnego czasu, od reform Kudryckiej, jest to niemożliwe. Bo te reformy są nie tylko antysocjalne, ale też antyliberalne. Są one radykalnie antywolnościowe i sprawiają, że zewnątrzsterowność i potulność środowiska akademickiego radykalnie się zwiększyły. Kudrycka nie wskazała drogi wyjścia

z feudalizmu uczelnianego – przeciwnie, sprezentowała go nam w wersji wzmocnionej. Bo jeżeli profesura i adiunkci pracują na śmieciówkach, jeśli adiunkci zatrudniani są tylko na czas trwania grantów, to oni wszyscy są nieskończenie bardziej zależni od swoich dziekanów i swoich rektorów, niż to było wcześniej.

– Co sprawiło, że udało się wreszcie poruszyć środowisko?

– Jesteśmy środowiskiem działającym politycznie, ale ponadpolitycznie. Powiedziałbym nawet, że działamy politycznie w sposób drapieżny. Zaczęliśmy właściwie w dwie osoby od listu otwartego w obronie filozofii w listopadzie 2013 roku. Kiedy dowiedzieliśmy się, że w Białymstoku wobec zbyt małej liczby studentów będzie likwidowany kierunek filozofii, zorganizowaliśmy podpisywanie listu otwartego. To jedyny taki list w III RP, pod którym udało się zebrać podpisy profesorów Andrzeja Zybertowicza, Aleksandra Smolara, Kingi Dunin i ojca Salija, profesorów Głowińskiego i Krasnodębskiego. To udało się na początku, to udaje się nadal, mimo bardzo zaostrej walki stronnictw w polityce pozauniwersyteckiej. My działamy politycznie jako patrioci uniwersytetu, co znaczy: wpływamy na polityków, by stanowili dobre prawo. Naszym zadaniem jest lobbying polityczny. Chcemy zmieniać prawo, a w związku z tym musimy negocjować i ugniatać polityków. Ale udaje się nam łączyć skrajnie różne środowiska: „Krytyką Polityczną”, „Teologię Polityczną”, „Kulturę Liberalną” itd. Nasze środowisko jest w trójkącie między Akademickim Klubem Obywatelskim im. Lecha Kaczyńskiego, Partią Razem i KOD-em. Jesteśmy, jak mi się wydaje – obwarowuję to jednak bardzo – jedynym środowiskiem, któremu udaje się bardzo trudna sztuka utrzymania „pokoju religijnego” w obrębie tak zróżnicowanej grupy. To bardzo trudne, ale to jedna z naszych podstawowych zalet i warunek konieczny jakiegokolwiek wspólnego działania pracowników akademii – właśnie jako pracowników akademii, a nie jako członków tej czy innej partii, tego czy innego kościoła lub kręgu towarzysko-ideowego. Udało się nam zdobyć

zaufanie i zgodę środowiska, co pozwala na bardzo pragmatyczne działanie. Naszym celem nie było i nie będzie wzmocnienie prawicy, lewicy lub liberalizmu. Gramy z politykami, ale na rzecz uniwersytetu. Zdobyliśmy zaufanie poważnej części środowiska, choć gramy ostro. Udało się nam zorganizować pierwsze po 1989 roku protesty środowiska akademickiego, udało się doprowadzić do tego, że w czerwcu zeszłego roku na wszystkich polskich uniwersytetach zawisły czarne flagi. Udało się nam protestować przeciwko polityce naukowej PO i nie zostać przypisanymi do drugiej strony sceny politycznej. Wygląda na to, że i dziś nie możemy myśleć w jasnych barwach o czekających nas perspektywach. Jednak zdołaliśmy wytworzyć i zachować twardą i jednocześnie pragmatyczną postawę, niezależną od sytuacji politycznej.

– Wróćmy do wyjściowego pytania. Skoro działacie w interesie uniwersytetu, to chciałbym wiedzieć, kogo konkretnie – w wymiarze ludzkim i społecznym – dotyczą wasze działania. Proszę też o wyjaśnienie, jaki jest związek interesów środowiska akademickiego z interesem powszechnym?

– Występujemy w obronie uniwersytetu, co nie znaczy – w obronie kasty profesorskiej. Jest to pierwszy krok w stronę neutralizacji wyjściowego pytania. Podnosimy problemy doktorantów, którzy są pariasami obecnego systemu. Najlepsi doktoranci są najlepszym sposobem na załatwienie budżetu uczelni. Udało się nam przeforsować zmiany, które sprawiają, że znacznie bardziej opłacalny jest dla uniwersytetu doktorant ze stypendium niż doktorant pozbawiony go. Nie ma dla nich miejsc na uczelniach. Kadra naukowa starzeje się, zlikwidowano w zasadzie etaty asystenckie, w związku z tym nie ma naturalnej drogi awansu. Doktoranci na większości wydziałów nie dostają w ogóle stypendiów, a na innych dotyczy to tylko niewielkiej liczby osób. W związku z tym zaledwie kilka procent doktorantów kończy z sukcesem studia doktoranckie. Są zapchajdziurami zajęciowymi, co skądinąd jest oszustwem wobec studentów, z którymi prowadzą zajęcia. Wprawdzie to się teraz

zmienia, bo studentów i zajęć jest coraz mniej, ale tak było przez wiele lat. Gdy idzie o problem finansowania badań naukowych doktorantów, to Narodowe Centrum Nauki i rektorzy umywają ręce, wskazując na siebie nawzajem jako winnych. NCN w głównym programie finansującym badania doktorantów i doktorów obciął pensje do poziomu tysiąca złotych. Organizowaliśmy protest w tej sprawie wspólnie z Uniwersytetem Solidarnym. Podejmujemy też problemy pracowników technicznych, wobec których uniwersytety pozwalają sobie na haniebne rzeczy. Pracownicy techniczni – zajmujący się sprzątaniami, ochroną, obsługą szatni – przerzucani są do firm zewnętrznych, które nie respektują podstawowych zasad prawa pracy, zatrudniają najczęściej osoby starsze, na umowach śmieciowych. A uniwersytety i rektorzy chwają się tym, że szukają oszczędności, gdzie tylko mogą. Szukają oszczędności właśnie na najsłabszych grupach – doktorantach, pracownikach technicznych i adiunktach. Znana jest historia oszukanych sprzątaczek z Poznania, którym zewnętrzna firma nie wypłacała pensji przez trzy miesiące. Władze rektorskie stwierdziły, że to nie jest ich sprawa, lecz owej firmy. Sprzątaczkę zorganizowały strajk, lecz nie odzyskały pieniędzy. Sąd uznał, że trzymiesięczna pensja to... kwota zbyt mała, by wymusić na pracodawcy zwrot. Takie rzeczy działy się także na innych uniwersytetach. Ostatnio okazało się, że na Uniwersytecie Łódzkim pracownicy techniczni zatrudniani są na umowach śmieciowych z pensją pięć złotych na godzinę. Doszły nas także wieści, że zdarzają się jeszcze niższe kwoty. Zabraliśmy głos w tej sprawie, doprowadziliśmy do konfrontacji rektora Uniwersytetu Warszawskiego z tą kwestią i do konfrontacji władz uczelni z mediami. Występowaliśmy tu, co ważne, nie tylko w obronie konkretnych osób, lecz przede wszystkim o poszanowanie standardów. Występowaliśmy, mówiąc o wspólnym losie sprzątaczek i naukowców, wskazując, że środowisko naukowe – przez solidarność względem innych środowisk i z dbałości o swój dobrze pojęty interes pracowniczy – musi zadbać o elementarne standardy. Wywołało to duży skandal, ale udało się, bez nagłaśniania tego, że uniwersytet ustępuje pod

presją zewnętrzną, wprowadzić klauzule społeczne regulujące warunki zatrudnienia. To ważne zwycięstwo i krok w stronę cywilizowania rynku pracy. Pamiętajmy, że w wielu miastach to uczelnie są największymi pracodawcami. Nie mówiąc już o kulturotwórczej czy standardotwórczej roli, którą powinny odgrywać także w tej dziedzinie. Konieczność większej solidarności mocno egoistycznego dotąd środowiska akademickiego to kluczowa, mocno podkreślana przez nas sprawa. Najbardziej realne wymiary przyjmuje ona w stosunku do środowisk nauczycielskich. Jest wstydem, wielkim wstydem środowiska naukowego, że nie zabierało wcześniej głosu w sprawach likwidowania szkół, ich skrytej prywatyzacji, obchodzenia Karty Nauczyciela itp. Co więcej, w dużej mierze legitymizowało te procesy.

– Na czym polegała ta legitymizacja?

– Środowisko naukowe odwoływało się do bardzo wąskiej wizji modernizacji, utożsamianej z dyscypliną finansową, z cięciem kosztów. Ale również – odbierało innym środowiskom, w tym właśnie środowisku nauczycielskiemu, możliwość artykulacji interesów. Kneblowało to środowisko – często na poziomie czysto estetycznym, używając argumentów o roszczeniowości. Dziś formułujemy stanowiska i opinie solidaryzujące się ze środowiskami nauczycielskimi, występujemy również na demonstracjach nauczycielskich, organizowanych przez ZNP czy OPZZ. Zaproszono nas także na scenę podczas wspólnej, co ważne, demonstracji ZNP i „Solidarności”.

– Jaka wizja zatem stoi za waszymi działaniami?

– Koszty społeczne obecnego nurtu zmian są gigantyczne. Jeśli zgodzimy się na likwidację albo wygaszenie i konsolidację uczelni pozametropolitalnych, doprowadzi to do ogromnej zapaści społecznej. Radykalnie wzrośnie poziom wykluczenia społecznego i geograficznego. Już teraz jesteśmy jednym z najbardziej scentralizowanych krajów. W Warszawie znajdują się media, znajdują się urzędy, centrum polityczne...

– Paryż Północy...

– Tak, Paryż. Gdybym jednak był płocczaninem albo nawet krakusem, to Komitet Kryzysowy by nie powstał, a na pewno nie miałby takiego zasięgu. Tylko dzięki uprzywilejowanej pozycji Warszawy i uprzywilejowanej pozycji środowiskowej, dzięki notesom telefonicznym znajomych, dało się stworzyć sieć ludzi, która doprowadziła do jego utworzenia. Jeśli w najbliższych latach nie zostaną wdrożone reformy odwracające dotychczasowe procesy, umożliwiając rzeczywiście zrównoważony rozwój ośrodków naukowych, najpierw stabilizację i reprodukcję, a następnie rozwój kadry naukowej na prowincji, to dojdzie do społecznego pustynnienia. Byłby to proces komplementarny wobec likwidowania szkół, domów kultury, bibliotek, kolei i PKS-ów...

– Jakie zatem macie plany na najbliższą przyszłość?

– Prowadzimy, między innymi, działania na rzecz wprowadzenia obowiązkowych kursów praw pracowniczych dla wszystkich studentów, prowadzonych przez związki zawodowe. Chcielibyśmy wystąpić z tym projektem do Ministerstwa Nauki, ale także do Rady Dialogu Społecznego. Tworzymy ten projekt we współpracy z czterema związkami zawodowymi: „Solidarnością”, OPZZ, Inicjatywą Pracowniczą i Forum Związków Zawodowych. Najważniejsze jednak w tym roku na wszystkich uczelniach są wybory rektorskie. To jest okazja, z której nieskorzystanie byłoby grzechem śmiertelnym. Chcemy, aby wybory te stały się okazją do wyartykułowania rzeczywistych problemów uczelni, do wyartykułowania interesów grup najsłabszych, grup pozbawianych głosu. Chcielibyśmy doprowadzić do otwartych debat programowych. Dzięki nim chcemy sprawić, że władarze uczelni przedstawiały postulaty programowe i będą z nich rozliczani przez swoje wspólnoty. A rola rektorów jest gigantyczna i będzie jeszcze większa, gdyż prawdopodobnie dostali wolną rękę od obecnej władzy przy tworzeniu nowej ustawy. Jednym z jej celów będzie pełna swoboda w kształtowaniu polityki kadrowej na uczelni. W tym momencie autonomia uczelni sprowadza się do autonomii rektora. My zaś uważamy, że autonomia uniwersytetów

jest autonomią środowiska i samorządnością całego środowiska, nie zaś władzą absolutną bardzo wąskich elit uczelnianych. Oto stawka tych wyborów. Muszę powiedzieć, że udało się nam stworzyć szerokie koalicje różnych organizacji uniwersyteckich: NZS-u, organizacji doktoranckich, ZNP. Obecnie czekamy na rozmowy z ministerstwem. Nasze wrażenia, wynikające z dotychczasowych wypowiedzi, są bardzo niejednoznaczne. Z jednej strony pojawiło się wiele dobrych, rozproszonych zapowiedzi, które są pewnym echem naszych wystąpień z przeszłości. Chodzi tu np. o zapowiedź zmiany zasad finansowania uczelni, czyli odejście od liczby studentów i doktorantów jako podstawy wyliczeń. Tu jednak jest pewien problem. Jeżeli w zamian za to – a pojawiają się takie wypowiedzi – uczelnie byłyby finansowane w istotnym wymiarze na podstawie ilości pozyskiwanych środków grantowych, to wpadniemy z deszczu pod rynnę. Widać w tych zapowiedziach dużą dezorientację ministra Gowina i widać też, niestety, że dopuszcza do głosu środowiska związane z poprzednią ekipą...

– Z którą przecież był związany...

– ...i daje wolną rękę ludziom, którzy tworzyli wszystkie nowelizacje i projekty przez ostatnie dziesięć lat. Tym, którzy chcieliby komercjalizować i prywatyzować uczelnie. Pomijane są także, będące dla nas strategicznym partnerem, związki zawodowe. To bardzo nas niepokoi. Wszystko to, pozwolę sobie na polityczny komentarz, sprzeczne jest z innymi segmentami polityki rządzącej partii, a przynajmniej z zapowiedziami programowymi na temat roli zrównoważonego rozwoju. Naszym sporym sukcesem było to, że podczas kampanii spotykaliśmy się z różnymi partiami. Spotkaliśmy się z Razem, rozmawialiśmy ze środowiskiem Zjednoczonej Lewicy, spotkaliśmy się z PiS-em. Sformułowaliśmy listę wspólnych celów strategicznych dla szkolnictwa wyższego. Jarosław Gowin od razu po mianowaniu na stanowisko ministra nauki publicznie powiedział, że ta lista go nie obowiązuje. Jak dotąd nie zaprosił nas na rozmowy. Mamy nadzieję, że historia naszych

relacji z poprzednimi władzami się nie powtórzy.

– Dziękuję za rozmowę.

Z Aleksandrem Temkinem rozmawiał Michał Wójtowski

Źródło: NowyObywatel.pl